

Krystyna.

Jak większość ludzi miałam w życiu cel: wykształcić się, pracować, założyć rodzinę, wychować dzieci, doczekać się wnuków no i pożyć z mężem już bez stresu na emeryturze. Kierowałam się wiarą i starałam się postępować zgodnie z przykazaniami Bożymi. Było różnie: radość i smutek, wzloty i upadki, sukcesy i porażki jak w życiu. Nagle 25 lipca 2011 dowiedzieliśmy się, że mąż ma złośliwy nowotwór mózgu wielkości pomarańczy. Szok, niedowierzanie, nikt nie był na to przygotowany gdyż był on z natury zdrowym mężczyzną. Stan zdrowia pogarszał się z dnia na dzień. Szukaliśmy z córkami ratunku. Nie dopuszczałam do myśli, że może być źle. Byłam pełna wiary, że wyzdrowieje. Lekarze ostrzegali, nie dawali dobrych prognoz. Znaleźliśmy dobrego profesora i na początku sierpnia operował. Na szczęście pomyślnie; byłam z mężem cały czas w szpitalu, cieszyliśmy się, że odzyskiwał sprawność. Następnie wypisano go do domu by wzmocnił się przed chemioterapią. Byliśmy pełni optymizmu, jednak choroba odezwała się szybko. Następną operacja – odzyskał świadomość lecz za 2 dni odbyła się ponowna operacja. Nie mógł już rozmawiać, potakiwał że słyszy i ucałował mi rękę. W ostatnich dniach był podłączony do respiratora. Czuwaliśmy przy nim. Aż nadszedł dzień 21.09. 2011r., w którym zbadano, że mózg nie pracuje i odłączono męża od aparatury. Byłam przy tym, widziałam jak zanika puls i nie mogłam nic zrobić. Mąż o d s z e d ł a ja nie mogłam się z tym pogodzić.

Trzęsę się jak to piszę. Popadłam w depresję. Nie chciałam nikogo widzieć, z nikim rozmawiać, zamknęłam się w sobie. Córki nie dały rady do mnie dotrzeć, bagatelizowałam ich obecność. Mogłam nie wychodzić z pokoju, z łóżka. Zamykałam się, nie odbierałam telefonów, unikałam ludzi, okłamywałam że jestem zajęta jak ktoś chciał się spotkać. Nie dbałam o siebie. Chciałam umrzeć. Powoli zaczęły nadchodzić myśli samobójcze. Planowałam co zrobię ... w tajemnicy. Dzieci nadal czuwały i bardzo starały się bym „wróciła do siebie”. A ja pogrążałam się, lecz chwilami myślałam dlaczego Bóg na to pozwala. Przez jakiś czas szłam na mszę bez przekonania, wpatrywałam się w krzyż i widziałam pustkę, rozmawiałam z Bogiem w jakimś innym wymiarze. W okresie Wielkiego Postu wybrałam się na „Drogę Krzyżową” przedstawioną za pomocą obrazów z piasku przy muzyce na gitarę i perkusję. Było to artystyczne przeżycie Męki Pańskiej i wzbudzało wiele emocji. Byłam zachwycona przekazem i podziwiałam artystów. Po zakończeniu perkusista Witek opowiedział o swojej bliskości z Bogiem i zainicjował wspólną modlitwę oraz zachęcił byśmy oddali się bezgranicznie Bogu.

Przeżywałam wówczas bliskość Pana Boga. Kiedy w skupieniu słyszeliśmy jak Witek opowiadał jakie to cuda w danej chwili dokonuje na poszczególnych wiemych Bóg (uzdrawiania od różnych chorób i uzależnień) wszyscy byli wzruszeni. Czułam, że usłyszę coś osobistego. I tak było. Starałam się zapamiętać słowa skierowane do mnie. Usłyszałam: „ Jest z nami kobieta. Pół roku temu umarł jej mąż. Miał 54 lata. Kobieta nie może z tym pogodzić się. Wybacz mu, ty nie wiesz co cię czeka a Pan Bóg zna twoją przyszłość. On cię kocha”. Cała się trzęsłam, dotarło do mnie, że miłość Boga jest bezgraniczna . Kocham Cię Jezu całym sercem i ufam Tobie. Wracałam do domu uśmiechnięta. Nadal jest mi ciężko bez męża ale miłość do Boga jest znowu we mnie bardzo silna.

JEZUS jest moim PANEM.

Dziękuję za zorganizowanie tej wyjątkowej Drogi Krzyżowej.